

EMILIA J. LEE

THE 
MIDSOMMAR
OF 1989

beYA.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Opieka redakcyjna: Barbara Lepionka

Redakcja: Jarosław Lipski

Korekta: Anna Smutkiewicz

Projekt okładki oraz ilustracje wewnątrz książki: Emilia J. Lee

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: kontakt@beya.pl

WWW: <https://beya.pl>

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://beya.pl/user/opinie/themid>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-1250-2

Copyright © Helion S.A. 2024

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność



Wstęp '05

Trzydzieści trzy lata – ktoś mógłby rzec, że jest to wiek, w którym człowiek ma już wszystko ułożone, na miejscu. Wiek, w którym wszystko już wie, zna swoją drogę. Gdy byłam małą dziewczynką – miałam może z osiem lat – pamiętam, jak wyobrażałam sobie dwudziestopięcioletnią siostrę swojej przyjaciółki jako kogoś poważnego, ułożonego – kogoś, kto wie, co robić, do kogo można pójść po radę. Zabawne, prawda? Jak z wiekiem nasza perspektywa się zmienia. Mam już trzydzieści trzy lata i wciąż nie wiem, która droga jest tą właściwą.

Dokładnie rok temu moje życie zmieniło się dosłownie w przeciągu jednej chwili. Jeden telefon sprawił, że mój świat zaczął kurczyć się do rozmiarów małego pokoju, którego sufit runął mi na głowę. Gdy zamykam oczy, wciąż widzę pękający na nim tynk. Z tym że to nie był sufit, tylko moje serce, a szramy zamieniły się we wciąż bolesne blizny, które niezależnie od tego, jak dużo czasu minie, nigdy nie znikną.

Dzisiaj mija dokładnie rok, odkąd straciłam swoich ukochanych rodziców. Odebrał mi ich nastolatek pod wpływem, który wieczorem wymknął się z domu, pożyczwszy bez słowa samochód ojca. Ta jedna bezmyślna decyzja chłopaka, którego nigdy nie widziałam

na oczy, zainicjowała serię zdarzeń, które nazwałabym początkiem swojego końca.

Gdy usłyszałam o śmierci mamy i taty, byłam w drugim miesiącu ciąży. Było to dziecko wyczekiwane, wymodlone. Powiedziałabym nawet, że wyblagane od Boga. Z mężem od lat mieliśmy problemy. Poznaliśmy się na studiach. Wówczas planowałam zostać weterynarzem, jednak po roku zrezygnowałam, bo nie potrafiłam znieść cierpienia zwierząt. Przenosiłam je na siebie i zadreęczałam się w domu, jakbym to ja chorowała i codziennie od nowa budziła się tylko po to, by wieczorem mieć poczucie, że moje ramię jest głaskane przez śmierć.

Poznaliśmy się na pierwszym roku. Mój mąż był jednym z prymusów, którzy zawsze oddawali pracę na czas, nigdy nie spóźniali się na zajęcia i byli ulubieńcami wykładowców. Ja byłam jego kompletnym przeciwieństwem – bałaganiarą, osobą mało ułożoną, często zapominającą o zadaniach domowych, jednak zdolną, bo mimo braku dobrej organizacji egzaminy zdawałam bez większych potknięć. Ślub wzięliśmy zbyt szybko. Przez swoją impulsywność i wieczne zagubienie uznałam, że nikt lepszy mi się nie trafi. Wiem, brzmi to okropnie i niedorzecznie, ale tak naprawdę było. Na ślubnym kobiercu stanęliśmy po dokładnie osiemnastu miesiącach oficjalnego chodzenia ze sobą. Nasza ceremonia była wystawna, bogata. Nie taka, jaką chciałam mieć, ale on nalegał, więc się zgodziłam.

Od tamtego czasu męczyliśmy się ze sobą. Oczywiście były dni, kiedy dogadywaliśmy się całkiem nieźle, ale nie była to miłość, której zawsze pragnęłam.

Po wypadku to on zorganizował pogrzeb. Zajął się formalnościami. Ja nie byłam w stanie nawet wyjść z łóżka, nie mówiąc o szukaniu dokumentów ubezpieczenia moich dwóch aniołów. Leżałam przez kilka dni skulona, z nogami podciągniętymi pod brodę i okładami na oczach. Od płaczu tak bardzo puchły mi powieki, że praktycznie nic nie byłam w stanie zobaczyć. Z łóżka wywlekłam się dopiero w dzień pogrzebu. Padał deszcz, jakby niebo z tęsknoty i smutku płakało razem ze mną. Jakby czuło i dzieliło ból, który rozsadał mnie od środka. Pamiętam, jak klęczałam w błocie, nie zważając

na deszcz. Choć już wszyscy odeszli, ja wciąż tam byłam. Wpatrywałam się w ciemnobrązowe, drewniane trumny i nie potrafiłam odejść. Myślałam, że jeśli odejdę, zostawię ich tam samych... a ta myśl mnie zabijała. Ten chłód i ta ciemność. Samotność. Nie mogłam jej znieść. Nie potrafiłam poradzić sobie z myślą, że to otula teraz moich rodziców.

Dwa dni później straciłam dziecko. Jedyną nadzieję na naprawę naszego związku. Moje ukochane maleństwo. Maleństwo, które teraz prowadzone jest za dłoń przez moich rodziców. Czekające, by mama dołączyła do spaceru.

Nie mogłam się pozbierać, a może nawet nie chciałam, bo miałam poczucie, że na to nie zasługuję. Chciałam zostać sama, zniknąć.

Miesiąc temu straciłam też męża – mężczyznę, któremu obiecywałam wierność i lojalność aż do śmierci. Ale w końcu ja umarłam, a przynajmniej tamta wersja mnie. Odeszła wraz z ludźmi, którzy obdarzyli mnie darem życia, i moją kruszynką, której oddałam część siebie. Nie było więc *mnie*. Została tylko nic niewarta powłoka.

Rozwód był szybki, choć nieco skomplikowany ze względu na to, w jakim miejscu się znajduję. Od ponad dziesięciu miesięcy jestem pod kluczem. Pierwszy miesiąc spędziłam w szpitalu uniwersyteckim, kolejne dziewięć na oddziale zamkniętym szpitala psychiatrycznego.

Nigdy nie sądziłam, że byłabym w stanie targnąć się na swoje życie. Zawsze uważałam je za wartość nadrzędną, podarowaną przez los. W tamtej chwili nie widziałam innej drogi ucieczki. Czułam się, jakbym to ja leżała kilka metrów pod ziemią. Po części zazdrościłam tym, którzy mieli już spokój. Nie musieli borykać się z myślami ani tęsknotą. Chciałam zamknąć oczy i już ich nie otworzyć. Dołączyć do tych, którzy gdzieś tam w chmurach na mnie czekają.

Zasnęłam na podłodze w łazience. Zawsze myślałam, że przedawkowanie jest najmniej bolesną drogą do zakończenia tego żywota. Nie jest. Miałam wrażenie, że wszystko wokół mnie zaczyna się zmieniać i że nie mam kontroli nad tym, co się dzieje. Czułam się, jakbym była w dziwnym transie, w którym wszystko jest nierealne. Kolory, które widziałam, nie odpowiadały tym rzeczywistym. Wszystko było albo

zupełnie rozmazane, albo nad wyraz wyostrzone. Zmęczenie i okropna senność przeplatały się z pobudzeniem. Prawie od razu rozboleł mnie brzuch. Mój żołądek najpierw się zacisnął, a potem zawiązał w pętlę, która objęła się o inne narządy. Takie przynajmniej odnosiłam wrażenie. Nie mogłam utrzymać języka w ustach. Zesztywniał, a szczęka zacisnęła się na nim, co spowodowało otwarte rany. Dlaczego nikt o tym nie mówi? Nie tak jest to przedstawiane w filmach.

Byłam jak więdnący kwiat, który spolegliwie uległ nadchodzącej jesieni. Moje płatki powoli traciły kolory, opadały, a łodyga zwiotczała. Sennie oddawałam się nocy. Jedyne, co po mnie pozostawało, to wciąż unoszący się w powietrzu zapach znikającego życia. Nareszcie zasnęłam. Z ulgą pożegnałam ten żywot.

Kilka dni później się obudziłam... Pierwsze, co poczułam, to zapach świeżo wypranej i wykrochmalonej pościeli oraz mało przyjemny zapach sterylności szpitala. Powoli zaczęły do mnie docierać dźwięki. Najpierw stłumione, jakbym była zamknięta w jakiejś puszcze, od której ścian się odbijały, powodując bębniące i niekończące się echo. Potem się unormowały. Dźwięki scaliły się w jedność. Gdy otworzyłam oczy, początkowo nie byłam w stanie zbyt wiele zobaczyć. Pokój był jasny, z dużymi oknami wychodzącymi na najbardziej ruchliwą ulicę miasta. Nie do końca pamiętam, ale zakładałam, że był to środek dnia. Słońce wpadające do sali mnie oślepiało. Zdawało się jaskrawe i bezlitośnie krzywdziło moje zbolące oczy.

Tak jak wspomniałam, w szpitalu spędziłam jakiś czas, po czym po ewaluacji psychiatrycznej postanowiono przenieść mnie do specjalistycznego zakładu. W tamtym momencie nie protestowałam, bo nie miałam siły. Oczywiście nie chciałam trafić do szpitala psychiatrycznego – szczególnie że w tym uniwersyteckim zaczynałam powoli dochodzić do siebie i nawet żałować, że targnęłam się na swoje życie.

Miesiące spędzone w zamknięciu odbiły się na moim zdrowiu psychicznym. To było jak obóz przetrwania. Nie byłam chora psychicznie. Byłam zrezygnowana. Smutek i tęsknota wypełniły mnie tak bardzo, że nie zostało już nic poza nimi. Tak więc na żółtawych, starych i przygnębiających korytarzach szpitala czułam się nieswo-

jo. Spotykałam na nich osoby poważnie zaburzone. Była tam Alicja, dziewczyna, która zmagала się z ciężkim stadium schizofrenii. Jej epizody maniakalne były dla mnie koszmarem. Miała pokój obok mojego, więc każdej nocy słyszałam jej krzyki. W dzień co chwila jej przygnębienie przechodziło w euforię, nie mówiąc o tym, o czym opowiadała. Były to historie nie z tego świata – i to niestety w złym tego słowa znaczeniu. Do tego był Patryk. Na początku myślałam, że jest całkiem w porządku, jednak po kilku dniach okazało się, że ma skłonności do zachowań agresywnych. Któregoś poranka, podczas śniadania, nagle podniósł talerz i rzucił nim w jednego z pielęgniarzy. Byłam przerażona. Nie pasowałam tam i nie chciałam tam zostać. Dopiero po jakimś czasie zrozumiałam, że jeżeli wyjdę, może to być mój koniec. To przewrotne i zabawne, ale gdy stanęłam już twarzą w twarz ze śmiercią, uznałam, że nie jest tak piękna i wyzwalająca. W końcu nie chciała mnie ze sobą zabrać. Brzmi to trochę tak, jakbym obraziła się na tę wstrętną kostuchę – i może tak było. Może chciałam żyć na przekór losowi. Pokazać kosiarzowi, że skoro nie jestem jeszcze tam mile widziana, to pożyję. Pożyję życiem, które może kiedyś było mi pisane.

Od najmłodszych lat jeździłam z rodzicami na wakacje do północnej Szwecji. Spędzaliśmy tam co najmniej miesiąc każdego roku. To jedyny czas, który wspominam jako błogi, bezproblemowy i pełen miłości i nadziei. Szwedzkie lasy mają w sobie coś magicznego. Są dziewicze, nietknięte przez parszywą ludzką rękę. Pamiętam, jak godzinami przesiadywałam na chwiejącym się drewnianym podeście, obserwując delikatnie kołyszące się fale jeziora i słońce, które z gracją tańczyło na jego tafli. Przywoływało to spokój – taki, którego tutaj, w domu, nigdy nie zaznałam. Dałam więc sobie ostatnią szansę.

Dziś wyszłam ze szpitala, pojechałam do domu. Był pusty. Mój mąż już kilka tygodni wcześniej zabrał wszystkie swoje rzeczy i przeprowadził się na obrzeża miasta. Nie marnowałam czasu nawet na posiłek, mimo że w brzuchu burczało mi głośno. Od razu poszłam do kuchni i zajrzałam do dolnej szafki. Uklękłam i wyjęłam z niej białe, nieco przybrudzone pudełko z dokumentami. Chwilę mi to

zajął, ale znalazłam ten, o którym myślałam przez ostatnie miesiące. Akt własności mieszkania. Tak – to mój pierwszy punkt na liście, aby odnaleźć szczęście. Muszę pozbyć się tego ciężaru i przenieść się tam, gdzie moja dusza ma szansę odnaleźć spokój.



Rozdział 1.

Negocjacje ze starym przyjacielem '05

— **W**iesz, że to okropny pomysł, prawda? – Spojrzał na mnie z ogromną dozą rozczarowania w oczach.

– Uważam, że to świetny pomysł. – Skinęłam zdecydowanie głową. – Nie wiesz wszystkiego. Gdybyś wiedział, na pewno wsparłbyś mnie w moim planie – odpowiedziałam, po czym założyłam ciasno ręce na piersiach i wbiłam wzrok w podłogę. – Przeszłam piekło... właściwie to dosłownie przez nie przeszłam. Stąpałam po drodze do bram piekieł wyłożonej rozżarzonymi węglami, ale mnie cofnęli. – Podniosłam wzrok na Piotra i obdarowałam go sardonicznym uśmiechem.

– Wiem, że na pewno nie było ci łatwo. – Ton jego głosu znacznie złagodniał. – Ale nie możesz sprzedać mieszkania o sto tysięcy taniej tylko dlatego, że ci się spieszy. To dziecinne i nieodpowiedzialne.

– Nic nie wiesz. – Spojrzałam spode łba. – Wiesz tylko tyle, ile ci powiedziałam, a powiedziałam niewiele, bo chcę o tym zapomnieć. Dlatego potrzebuję dobić targu i pozbyć się mieszkania.

– I co wtedy? Co wówczas zamierzasz zrobić? Za takie pieniądze nie kupisz niczego wartego uwagi w tym mieście. Co ja mówię... – Podniósł bezradnie ręce. – Nie tylko w tym mieście, ale i w żadnym innym.

– Kto powiedział, że planuję zostać w mieście? – Zmarszczyłam brwi. – Chcę wyjechać.

– Dokąd? – Westchnął, zmęczony naszą ciągnącą się bez końca rozmową. – Wiesz, że ucieczka nie jest rozwiązaniem, prawda?

– Nie pouczaj mnie. – Pokiwałam głową z dezaprobatą. – Nie rozmawiamy teraz jako starzy znajomi, tylko jako klient i pośrednik.

– Właśnie. – Piotr wyprostował plecy i dłonią nerwowo pomasażował czoło. – Jako specjalista próbuję ci doradzić, ale ty kompletnie nie słuchasz, co się do ciebie mówi.

– Do wszystkich klientów się tak odzywasz?

– Tylko do tych, którzy zostawili mózg w domu, który próbują sprzedać. – Odwrócił się do wielkich okien pokoju, w którym oboje staliśmy.

Przez krótką chwilę nie reagowałam na jego cięte uwagi. Nie widziałam bowiem takiej potrzeby. Zawsze zważałam na to, co mówię i robię, bo bałam się opinii innych. Po wyjściu ze szpitala byłam inna, jakbym narodziła się na nowo. Odnosiłam wrażenie, że wszyscy wokół powariowali. Pędzą bez zastanowienia. Myślą tylko o zyskach, o tym, gdzie i kiedy mogą dużo zarobić. Co i czy w ogóle im się coś opłaca robić. Kalkulują, byleby wyjść na swoje. Większość ubierała się na pokaz, by zwrócić na siebie uwagę lub ukryć to, kim tak naprawdę jest. Ja ich jednak przejrzałam. Ekstrawaganckie ubrania i drogie marki nie przysłaniały mi już oczu, bo w prostocie widziałam bogactwo, a w nim dostrzegałam hańbę. Gdyby ci, którzy uważają się za tych ważnych, wiedzieli, kto szyje ich ubrania albo jak wyglądało życie cielęcia, które niemal codziennie leży na ich drogich, porcelanowych talerzach podczas obiadu, może zastanowiliby się, czy rzeczywiście warto. Wątpię... wątpię, żeby to coś zmieniło. Dlatego też muszę uciekać z tego zdeformowanego świata, w którym już nie odnajduję dla siebie miejsca.

Piotr był moim znajomym jeszcze z czasów szkolnych. Chodziłszy razem do liceum, potem nasze kontakty ograniczyły się do klikania w serduszka pod zdjęciami w social mediach. Nie byliśmy blisko, ale był jedyną osobą, która przyszła mi do głowy po tym, jak

bezsukutecznie poszukiwałam pośredników nieruchomości z dobrymi opiniami. Nie chciałam zdawać się na przypadek. Obiecałam sobie, że nie powierzę już szczęścia i kolei losu w ręce innej osoby. To ja będę przy sterze i nie pozwolę, by ktokolwiek dyktował mi współrzędne, według których powinnam płynąć. Fale są zbyt piękne i potężne, by je ignorować. To one będą wskazywać mi drogę.

– Skończyłeś? – zapytałam, gdy Piotr odwrócił się do mnie i bezmyślnie wbił wzrok w dokumenty, które trzymałam w dłoni.

Rozejrzałam się po białych ścianach, na których wisiały mało wiarygodne certyfikaty potwierdzające jego wykształcenie, po czym pstryknęłam palcami, by wybudzić go ze stanu, który nazwałabym zawieszeniem albo zmęczeniem materiału.

– Przecież niczego nie zaczynałem. – Zdjął okulary i przetarł prawe oko, przechylając głowę na bok. – Dalej będę sztywno trzymać się swojego zdania, że twoje mieszkanie jest warte dużo więcej i frajerstwem byłoby sprzedanie go za półdarmo.

– Powiedz mi – zaczęłam, tracąc powoli swoją anielską cierpliwość. – Chodzi o twój procent od sprzedaży, tak? Nie chcesz go sprzedać za tę cenę, bo za mało wpadnie do twojej pazernej kieszeni?

– Isabello, chyba nie myślisz o mnie tak źle? – Zrobił wielkie oczy i z powrotem założył czarne okulary na swój wyjątkowo długi nos. – Chciałbym, żebyś dostała tyle, na ile zasługujesz. W ostatnich latach ceny mieszkań poszybowały w górę, a ty swoje chcesz sprzedać za cenę z lat dziewięćdziesiątych.

– Ale to wciąż moje mieszkanie, prawda? Ile razy możemy to przerabiać, co? Mieszkanie wisi na twojej stronie internetowej od trzech miesięcy i nie było zbyt wielu chętnych.

– Przecież byli, ale...

– Nie, nie ma *ale*. – Zacisnęłam usta i wzięłam głęboki wdech. – Mam dosyć czekania. To mieszkanie przypomina mi o wszystkim tym, o czym za wszelką cenę próbuję zapomnieć – powiedziałam, silnie akcentując dwa ostatnie słowa. – Nie chcę spędzić w nim kolejnych tygodni. Muszę wyjechać – przekonywałam go, choć wiedziałam, że decyzja należy tylko i wyłącznie do mnie.

– Naprawdę chcesz, żebym przyjął ofertę tych ludzi? – Po tonie jego głosu wywnioskowałam, że moja postawa go zdołowała.

– Owszem. Widziałam ich i z nimi rozmawiałam. Wydają się dobrymi, skromnymi ludźmi i nie stać ich, by dać więcej.

– Litujesz się, bo mają trójkę dzieci? Bo są skromni?

– Nie lituję się, tylko przyjmuję ofertę kupców, którzy dają wystarczająco, bym mogła ruszyć dalej ze swoim życiem.

– Pożałujesz tej decyzji, jak tylko zobaczysz ceny w marketach. Izzie, ja mam doświadczenie. Wiem, że ludzie myślą, że kupią coś do remontu i przy drobnych kosztach sami to wyremontują. Obecnie nie ma *drobnych kosztów*, wszystko jest horrendalnie drogie.

– Nie zależy mi na pałacu. Chcę mieć tylko dach nad głową, las wokół... i byłoby miło, gdybym miała co jeść.

– Zwariowałaś. – Piotr machnął rękoma z niedowierzaniem. – Żyjesz jakąś fantazją, która okaże się spektakularnym fiaskiem.

– Być może, ale to nie będzie już twój problem. Ty dostaniesz swój procent, pozytywną ocenę ode mnie na swojej stronie internetowej i nasze ścieżki się rozejdą. – Wbijalam kąciki ust w policzki, wymuszając szeroki uśmiech.

– Dobrze. – Energicznie zaczął kiwać głową i szperać w stercie papierów na biurku. – Zadzwoń do nich jutro i powiem, że przyjęłaś ofertę.

– Zadzwoń do nich dzisiaj albo ja to zrobię, a wtedy nie otrzymasz swojej zapłaty.

– Nie chcesz nawet jednego dnia na zastanowienie? – Zrobił skrzywioną minę. – Daj sobie chwilę na przemyślenie tej oferty, jakąś kalkulację kosztów, czy rzeczywiście ci na wszystko wystarczy.

– Nie – odpowiedziałam bez zbędnego zastanowienia. – Czas jest mi potrzebny, ale akurat nie w tym przypadku. Potrzebuję sprawnej i szybkiej transakcji, dzięki której na moim koncie pojawi się sześciocyfrowa liczba. – Podeszłam do biurka i otworzyłam teczkę, którą przez cały czas ściskałam w dłoniach. – Tutaj są dokumenty potwierdzające uregulowanie wszystkich rachunków i podatków. Umów, proszę, notariusza na najbliższy możliwy termin.

– Jak sobie pani życzy – odpowiedział, nie podnosząc wzroku. – Zadzwoń, jak będę mieć jakieś wieści.

Stałam naprzeciw biurka i przez chwilę zrobiło mi się głupio. Czułam się nieco niezręcznie. Może zbyt szorstko się wypowiadałam. Może go uraziłam. Ale nie potrafiłam inaczej. Przez całe życie starałam się, by wszyscy wokół czuli się komfortowo, podczas gdy mną często pomiatano lub byłam bezpardonowo pomijana.

– Przepraszam, może nie powinnam była się tak odzywać – powiedziałam pokornym tonem i zagryzłam dolną wargę. – Nie mówiłam ci, ale po utracie rodziców i Lilly... i po rozwodzie próbowałam ze sobą skończyć. Od miesięcy nie chodziłam wolna po ulicach. Może przez to trochę zdziczałam i zapomniałam, jak wyglądają normy współżycia w społeczeństwie.

Piotr podniósł wzrok, w którym po złości i poirytowaniu nie było już śladu.

– Chciałaś ze sobą skończyć? Boże, Isabello! – Odsunął się od biurka i zgrabnym ruchem podniósł z czarnego fotela. – Mogłaś mi powiedzieć, odezwać się... – Stał naprzeciwko mnie, próbując spojrzeć mi w twarz mimo mojej spuszczonej głowy.

– Nie nazwałabym cię swoim kontaktem w razie wypadku – powiedziałam, by rozluźnić nieco atmosferę. – Nie jestem z tego dumna, dlatego ci nie mówiłam. – Podniosłam wzrok. – Nie widziałam też w tym sensu. Po co miałabym o tym wspominać?

Początkowo Piotr stał wpatrzony we mnie z odrobiną rozdziawionymi ustami, sugerującymi, że szuka odpowiednich słów.

– Może mógłbym jakoś pomóc – odezwał się, a jego powieki zdrząły.

– Nie pomógłbyś – odpowiedziałam z przekonaniem. – Nikt nie pomoże osobie, która straciła wszystko i jedyne, czego pragnie, to odejść. Nie chciałam pomocy.

– Nie mów tak, przecież są specjaliści...

– Specjaliści? – przerwałam mu. – Błagam cię. – Przewróciłam oczami i odsunęłam się od niego. – Ja już znam tych specjalistów.

– Gdybym wiedział, inaczej podszedłbym do sprzedaży twojego mieszkania. – Piotr wrócił do biurka i włączył komputer. – Jeżeli to jest naprawdę to, czego potrzebujesz, sprzedam twój dom jeszcze dzisiaj. – Jego głos brzmiał niezwykle poważnie i profesjonalnie.

– Ach... więc to tak! Żeby otrzymać profesjonalną obsługę w twoim biurze nieruchomości, trzeba być klientem po nieudanej próbie samobójczej. – Staralam się zażartować, jednak on tylko na chwilę odwrócił na mnie wzrok, a kąciaki jego ust pozostały nieugięte w powadze.

– Raczej koleżanką z dawnych lat w potrzebie – odpowiedział prawie szeptem.

Usiadłam na brązowej, skórzanej... i wyjątkowo niewygodnej kanapie, która stała przy oknach. Założywszy nogę na nogę, sięgnęłam po swój czerwony kubek z zimną już kawą i łapczywie wzięłam łyk. Skrzywiłam się, bo jej gorycz była czymś, do czego nie przywykłam. Tego jeszcze nie zmieniałam. Wciąż nie lubię stwarzać ludziom problemów, więc zamiast poprosić o cukier i mleko, skinęłam głową do sekretarki proponującej mi czarną kawę z taniego ekspresu.

– Idź do domu odpocząć, Izzie. Zadzwoń, jak się czegoś dowiem – zapewnił mnie. – Mam jeszcze sporo pracy nad innymi zleceniami.

– Wołałabym pójść do domu się pakować – wystrzeliłam z odpowiedzią bez zastanowienia. – Właściwie to większość rzeczy spakowałam od razu po wyjściu ze szpitala.

– Mieszkasz na kartonach? – Wychylił się zza ekranu. – Nie pij tego obrzydlistwa. Ta kawa do niczego się nie nadaje.

– To dlaczego ją serwujecie? – Skrzywiłam usta i podniosłam brwi, biorąc ostentacyjnie kolejny łyk tego, co ktoś niepoważny nazwałby kawą.

– Gdyby to ode mnie zależało, piłabyś najlepszą, świeżo paloną, ale niestety nie ja o tym decyduję.

– Szef obcina koszty? Myślałam, że sam sobie tutaj szefujesz.

– W niektórych kwestiach owszem, ale akurat w kwestii kawy jestem pomijany. – Uśmiechnął się szeroko. – Następnym razem poczęstuję cię moją z termosu.

– Nosisz do pracy termos?

– A ty byś nie nosiła? – Spod biurka wyjął termos o przesadnie wielkiej pojemności, po czym z dumą odkręcił wieczko i nalał kawy do kubka. – Chcesz? – zaproponował.

– Spasuję – odparłam. – Lecę do domu spakować resztę swoich rzeczy.

– Właśnie! Nie odpowiedziałaś... Mieszkasz już teraz na kartonach? – zapytał nieco frustrującym mnie tonem.

– Poniekąd. – Skinęłam głową. – Nie zamierzam wiele ze sobą zabrać. Sporą część rzeczy już oddałam... resztę wyrzuciłam. – Zaciśnęłam usta w uśmiechu. – Mam może ze trzy kartony i jedną dużą walizkę.

– Spakowałaś całe życie w trzy kartony i walizkę? – Podniósł jedną brew i zrobił wielkie oczy.

– Tamto życie dawno się skończyło. Nie miałam więc co pakować. – Przelknęłam głośno ślinę i wzięłam głęboki wdech. – Zostałam tylko to, co przyda mi się na starcie nowego życia.

Piotr spoglądał na mnie ze zmieszaną miną. Widziałam, że z jednej strony nie chce brnąć w tę rozmowę, ale z drugiej chyba wiedział, że wypadałoby dopytać, czy na pewno wszystko u mnie w porządku. Miałam jednak nadzieję, że tego nie zrobi. Nie chciałam w żadnym razie opowiadać mu o swoich rozmyślaniach nawet minuty dłużej.

– Pójdę już. – Podniosłam się z wydającej skrzeczące dźwięki kanapy, chwyciłam papiery pogniecione od moich spoconych palców i ruszyłam w stronę drzwi. – Zadzwoń do mnie od razu, jak dostaniesz jakieś wieści – ponowiłam prośbę.

– Jasne, Izzie. Zadzwonię, jak tylko ci ludzie się do mnie odezwą. – Piotr odsunął się od biurka i podszedł do drzwi.

– Ty tak na poważnie? – zapytałam, spoglądając na jego wyciągniętą przed siebie dłoń. – Chcesz uścisku dłoni? – Podniosłam wzrok, uśmiechnęłam się i pokiwałam głową.

– W końcu jestem profesjonalistą... i dżentelmenem. Nie pozwolę kobiecie wyjść z pokoju, gdy siedzę rozłożony wygodnie w swoim fotelu.

– Ten fotel nie wygląda na superwygodny.

– Nie jest... – Zaśmiał się na głos. – Czy ty musisz być taką pesymistką?

– Jestem realistką, Pete – odpowiedziałam, wypowiadając *Pete* z brytyjskim akcentem.

Uśmiechnęłam się szczerze, bo przez chwilę byłam z siebie dumna. Kiedyś bardzo lubiłam gry słowne, jednak w ostatnich miesiącach kompletnie porzuciłam swoje poczucie humoru. *Pete*, powtórzyłam w myślach, automatycznie tłumacząc to słowo na język angielski, w którym oznaczało tyle co *szkoda*.

Ucisnęłam dłoń Piotra, po czym nawet się lekko ukloniłam, by zakończyć nasze spotkanie pozytywnym akcentem. Nie chciałam być dla niego niemila. Nigdy taka nie byłam i gardziłam ludźmi, którzy innych traktowali tak, jak ja dzisiaj po części potraktowałam starego przyjaciela. Mam wiele do przepracowania, ale zajmę się tym później, bo teraz muszę wracać do domu, aby spakować resztki swojego starego życia.



Wróciłam do domu około godziny szesnastej. Od razu po wejściu do mieszkania otworzyłam starą szafę w przedpokoju i wygrzebałam z niej bordową, nieco zużytą już walizkę. Z garderoby wyrzuciłam na podłogę wszystkie ubrania, jakie miałam, po czym podwinęłam swoją spódnicę i zaczęłam rozkładać je na kilka stert. Na pierwszą z nich rzucałam ubrania, które kupiłam, ale których nigdy nie założyłam. Aż wstyd się przyznać, ale niegdyś miałam tendencję do kupowania nadmiernej ilości ubrań – na dodatek takich, które nie nadawały się do noszenia – przynajmniej nie przeze mnie. Chyba próbowałam zrekompensować sobie pewne rzeczy, ale w związku, w którym tkwiłam, ubrania na pewno nie były w stanie wypełnić pustki. Szkoda, że zrozumiałam to dopiero po wydaniu na nie fortuny. Czasami dojście do pewnych wniosków ma wysoką cenę – w moim przypadku liczoną w banknotach i zmniejszających się liczbach na koncie bankowym. Ubrania z tej sterty wpakowałam do ciemnozie-

lonych worków na śmieci. Odłożyłam je na bok, tuż przy drzwiach wejściowych, aby wieczorem wynieść je do pojemników przeznaczonych na ubrania dla osób potrzebujących. Drugą stertę stanowiły rzeczy, które nie nadawały się już do oddania. Włożyłam je do worka i od razu wyniosłam na śmietnik, żeby nie zastawiać – już i tak dość zagraconego – przejścia.

No i ostatnia góra ubrań, a raczej pagórek, bo górą nikt by tego nie nazwał. To ubrania, które otrzymały szczęśliwą przepustkę do mojej walizki. Nie było ich wiele, bo planowałam zabrać ze sobą jedynie dziesięć procent rzeczy, które posiadałam. Spojrzałam na nie z góry, zastanawiając się, czy rzeczywiście udała mi się segregacja. Uśmiechnęłam się do siebie i z satysfakcją zapięłam zamek walizki.

– Udało mi się – szepnęłam do siebie cicho.

W tym samym momencie zadzwonił telefon. Dźwięk dzwonka jak zawsze był nieco stłumiony. Szybko wstałam z kolan i pobiegłam do pokoju. *Gdzie jest mój plecak, jak zawsze nie wiem, gdzie go odłożyłam*, powiedziałałam w myślach. Nerwowo szukałam wzrokiem ciemnego, skózanego plecaka. Gdy zauważyłam go wreszcie na kanapie – wśród sterty poduszek, których zakupu bardzo żałuję – rzuciłam się na niego niczym sęp na padlinę.

– Halo? Tak, słucham? – Odebrałam w nadziei, że po drugiej stronie wciąż będzie czekać cierpliwy rozmówca.

– Co tak dyszysz? Wróciłaś z biegania? – głos Piotra rozbrzmiał w słuchawce.

– Ach, to ty... – Wzięłam głęboki wdech. – Nie mogłam znaleźć telefonu i w pośpiechu kliknęłam słuchawkę. Nie zerknęłam, że to ty dzwonisz.

– Nie musisz się tłumaczyć – odpowiedział, a po jego głosie wywnioskowałam, że się uśmiecha. – Dzwonię z dobrymi wieściami.

– Nie mów, że udało ci się to załatwić tak ekspresowo! – powiedziałam jednym tchem. – Oddzwonili do ciebie? Wciąż są zainteresowani ofertą? – wypytywałam niecierpliwie i z nieukrywaną ekscytacją.

– Zwolnij, bo ci tchu zabraknie... Tak jak myślałem, byli zachwyceni, że zgodziłaś się przyjąć ich ofertę.

– A więc wciąż chcą kupić moje mieszkanie?

– „Chcą” to mało powiedziane w tym przypadku. Myślałem, że ta kobieta wyskoczy przez słuchawkę mojego telefonu i zacznie całować mnie po dłoniach. Wiedziałem, że tak będzie, bo w ich przedziale cenowym nie było mieszkań w takim stanie jak twoje.

– Nie zaczynaj znowu. – Przewróciłam oczami.

– Nie zaczynam! Tak tylko mówię. Są zainteresowani kupnem i szybkim domknięciem transakcji. W związku z tym, że płacą gotówką, a ty załatwiłaś wszystkie dokumenty potrzebne do sprzedaży, możemy sfinalizować transakcję u notariusza jeszcze w tym tygodniu.

– Kontaktowałeś się już z notariuszem?

– Kontaktowałem... inaczej nie dzwoniłbym do ciebie – wyjaśnił. – Pierwszy wolny termin na podpisanie umowy sprzedaży to czwartek o godzinie dziewiątej dwadzieścia.

– Wspaniale! Jezu, Piotr. Nawet nie wiesz, jak się cieszę! – wykrzyczałam do słuchawki.

Mój ton mnie zdziwił. Już nie pamiętałam, jak to jest mieć szczerą radość w głosie. Właściwie to zapomniałam już, jak mój głos brzmi, gdy nie jestem zmęczona, smutna lub rozczłuszczona. Te stany stały się moją codziennością, a radość całkowicie znikła.

– Nie Jezus, ale dziękuję. – Zaśmiał się. – W tym przypadku dobiecie targu było formalnością. Już ci mówiłem, twoja cena...

– Tak, tak, wiem! Była zaniżona – przerwałam mu. – Umów nas do tego notariusza w czwartek.

– Jesteś pewna? To już pojutrze. Nie potrzebujesz więcej czasu na...

– Nie – znów mu przerwałam. – Jestem spakowana i w sumie gotowa do opuszczenia swojej jaskini. Umów nas na czwartek i podziękuj tym państwu.

– To oni powinni dziękować tobie... ale nie powiedziałem ci jeszcze jednej rzeczy.

– O nie... Co znowu? – Mój głos nie był już tak entuzjastyczny. Przez myśli przewinęły mi się dziesiątki możliwych sytuacji, o których mógł teraz powiedzieć Piotr.

– Wynegocjowałem dodatkowe trzydzieści tysięcy – powiedział z dumą i powagą w głosie, ale słyszałam, że powstrzymuje się od wybuchu ekscytacji.

– Co zrobisz? – Odsunęłam telefon od ucha.

– Dostaniesz dodatkowe trzydzieści tysięcy. To chyba dobrze?

– Oczywiście! To świetnie... może jednak jako tako znasz się na swoim fachu.

– Nie tylko się znam, jestem jednym z najlepszych.

– Powiedzmy, że w małym procencie ci wierzę. Dziękuję za pomoc... te dodatkowe pieniądze na pewno się przydadzą.

– W to nie wątpię. – Usłyszałam, że Piotr się uśmiechnął. – W takim razie widzimy się w czwartek?

– Tak! Wyślij mi w wiadomości dokładną listę dokumentów, które muszę przynieść. Nie chcę niczego zapomnieć.

– Wyślę ci od razu po skończeniu rozmowy.

– Do zobaczenia, Piotrze – powiedziałam, po czym kliknęłam czerwoną słuchawkę na ekranie swojego telefonu.

Przez chwilę jeszcze stałam w bezruchu, analizując w głowie to, co się właśnie wydarzyło. Jedną rzeczą to wystawienie mieszkania w nadziei, że kupiec się znajdzie, oraz rozmyślanie o planach, a inną to faktyczne doprowadzenie do sprzedaży i realizacja owych planów. Nie wiem, czy przepełnił mnie strach, czy zawładnęła mną ekscytacja. Może i to, i to? W brzuchu poczułam ucisk. Mogłabym nazwać to motylkami, tylko takimi z ostrymi skrzydłami, bo ból wydawał się dosyć mocny. Powoli oblizałam wargi i zacisnęłam usta. Spojrzałam najpierw w prawo, potem w lewo. Wzięłam głęboki wdech, po czym wypuściłam powietrze ustami, co zredukowało napięcie, które chwilę wcześniej zawładnęło moim ciałem. Ramiona stały się lżejsze, a dłonie jakby mniej drżące. Serce zaczęło mi znacznie szybciej bić. Zagryzłam dolną wargę i na wdechu zaczęłam skakać po pokoju. Czułam się niedorzecznie, ale radość zmusiła mnie do okazania wdzięczności za ukłon od łaskawego losu. *Sprzedalam mieszkanie!* – krzyknęłam w myślach. *Nareszcie zaczynam żyć od nowa!* Skakałam, podnosząc wysoko kolana i wymachując rękoma.

– Jednak jestem nienormalna – powiedziałam na głos, zatrzymawszy się na środku pokoju. Potem jednak się roześmiałam, kręcąc w niedowierzaniu głową, i z ulgą osunęłam się po ścianie. Siedziałam tak przez chwilę, bezmyślnie patrząc w dal. Mój wzrok jakby wyłączył się, bo mimo że miałam otwarte oczy, nie widziałam nic, co stało przede mną. Widziałam za to bujne korony drzew i gęste igliwie ścielące dywany moich ukochanych szwedzkich lasów. Mogłabym przysiąc, że czułam zapach sosen. Dłońmi delikatnie stukalam o podłogę, wyobrażając sobie miękki mech na kamieniach. Prawie czułam ciepło słońca mieszające się z orzeźwiającym wiatrem znad jeziora. *Już niedługo...* powtarzałam w myślach. *Już niedługo tam będę. Już niedługo będę w domu.*



Dziś obudził mnie śpiew ptaków, które bez pardonu przysiadły na parapecie i tupały swoimi maleńkimi stópkami o chłodny po nocy metal. Było w tym trochę mojej winy, bo do szyby okna przyczepiłam samoprzylepny karmnik, do którego co wieczór nasypywałam świeżych ziaren i kruszonych orzechów. Nie wstałam od razu. Przeciągnęłam się i jeszcze przez dobrą godzinę fantazjowałam przykryta cienką kołdrą. Słońce żmudnie wspinało się nad horyzontem. Gdy na dworze było już zupełnie jasno, wyciągnęłam stopy poza łóżko i zmusiłam się, by się z niego zwlec. Wydawały się ciężkie, spuchnięte. Z chwilą, gdy przypomniałam sobie, jaki dziś jest dzień, stały się lekkie jak piórko. Prawie skocznym truchtem dotarłam do kuchni. Wcisnęłam guzik czajnika elektrycznego, który swoją drogą pobiera o wiele za dużo energii, przez co kawa kosztuje prawie tyle co w Starbucksie. Stałam przy oknie i wpatrywałam się w inne budynki.

– Już niedługo... – powtórzyłam kilkakrotnie, skupiając wzrok na betonowej dżungli. Wtedy czajnik z hukiem odbił wciśnięty przycisk, czym wybudził mnie z letargu. Podskoczyłam, zacisnęłam powieki i ziewnęłam, wciągając letnie powietrze do płuc.

Z kubkiem kawy – a właściwie zimnego mleka z domieszką gorącej kawy – poszłam do sypialni. Odśloniłam ciężkie zasłony, które

w teorii miały pomóc mi w spokojnym śnie, po czym z dumą i ekscytacją spojrzałam na swoje oficjalne wdzianko, które przyozdobi mnie w dniu przypieczętowania początku mojego nowego życia. Tak, to dziś. Dziś idę oddać swój dobytek w ręce innych ludzi, a sama stanę się wolna, by robić z nowym życiem, co mi się tylko podoba.

Odstawiłam kawę na bok i ściągnęłam ciemną sukienkę z wieszaka na drzwiach. Przez chwilę w mojej głowie pojawiły się obrazy z pogrzebu rodziców, bo tamtego dnia miałam na sobie podobną czarną sukienkę do kolan. Potrząsnęłam głową, jakbym chciała wyrzucić z niej niechciane, tragiczne wspomnienia. Policzyłam powoli do siedmiu, a myśli wróciły w ciemne odmęty mojego umysłu, które na co dzień szczelnie zamykałam. Włączyłam głośną muzykę i poszłam do łazienki szykować się na swój wielki dzień.

Wtedy usłyszałam głośne pukanie do drzwi, właściwie walenie, jakby ktoś nie oszczędzał swoich pięści. Podeszłam więc ostrożnie i zerknęłam przez wizjer. *Chyba robicie sobie ze mnie jaja*, w myślach prawie zakląłam, gdy zobaczyłam pod drzwiami sąsiadkę.

– Dzień dobry, pani Łucjo. Czy mogę pani w czymś pomóc? – Otworzyłam drzwi i z udawaną uprzejmością zapytałam starszą kobietę, która już nie raz dała mi się we znaki.

– Nie taki dobry, pani Isabello, nie taki dobry – powtórzyła. – Pani imprezę z rana urządzi? Jakiś kult pani do siebie zaprosiła? – dopytywała, insynuując satanistyczne pochodzenie melodii, które wybrzmiewały z głośników w salonie. – Nie da się tego słuchać.

– Pani Łucjo, nie wydaje mi się, żeby to było przesadnie głośne. – Obdarowałam kobietę krzywym uśmiechem. – Poza tym mamy czwartek i jest już po ósmej. Cisza nocna nie obowiązuje już od ponad dwóch godzin.

– Ale szacunek do starszych sąsiadów obowiązuje przez całą dobę, droga pani. – Kobieta zrobiła krok do przodu, bezczelnie zaglądając w głąb mojego mieszkania. – Ma pani kogoś tutaj? Czy sama lubuje się w takich agresywnych piosenkach?

Wziąwszy kilka uspokajających, głębokich oddechów, odpowiedziałam:

– Jestem sama jak palec, pani Łucjo. Ściszę muzykę. Zresztą zaraz wychodzę, więc będzie mieć pani spokój przez resztę dnia.

– A gdzie to się pani wybiera? – Spojrzała mi w oczy. Uznałam to pytanie nie tylko za wścibskie, ale i nie na miejscu. Postanowiłam jednak odpowiedzieć, głównie ze względu na to, że za kilka dni będę daleko stąd.

– Do notariusza, droga sąsiadko – odpowiedziałam zwięźle.

– Po co pani po tych prawnikach chodzi? Wpakowała się pani w coś nieprzyjemnego, tak?

– Nie, w nic nieprzyjemnego. – Nachyliłam się do niej. – Sprzedaję mieszkanie.

Moja odpowiedź wprowadziła kobietę w osłupienie. Wydawało mi się, że zachwiała się na swoich chudych nogach. Jedną dłonią złapała się za fartuch z kaszubskimi wzorami, drugą zasłoniła usta, jakby próbowała odsłyszeć to, co właśnie powiedziałam.

– Nie mówi pani poważnie – wymamrotała, rzucając mi groźne spojrzenie. Zaciśnęłam usta w uśmiechu i podniosłam wysoko brwi, bo wyglądało to dość komicznie. Otwierając jej z rana, nie sądziłam, że zaserwuje mi emocjonalny rollercoaster.

– Niestety – zaczęłam żalobnym tonem – to prawda, pani Łucjo. Opuszczam te włości. – Wzruszyłam ramionami i westchnęłam wystarczająco głośno, by niedosłyszająca kobieta to usłyszała.

– Komu pani to sprzedaje? Sprawdziła pani, kim są ci ludzie? – Zbliżyła twarz na tak niewielką odległość, że mówiąc, opluła mi ramię. Wewnętrzna część mnie próbowała wytrzymać bez reakcji, jednak ciało odmówiło posłuszeństwa i przetarłam dłonią oplute ramię.

– Jest coś takiego jak RODO. Nie mogę zdradzać takich informacji – odpowiedziałam, trzymając skażoną dłoń w powietrzu. – Ale to bardzo mili ludzie. Nie musi się pani obawiać.

– Skąd pani wie, że mili? – Kiwała głową załamana. – Mam nadzieję, że nie jacyś uchodźcy. Polacy, tak?

– Tak, pani Łucjo, Polacy. Ale pani wie, że Polacy to też nie są święci, prawda?

– Ale w Matkę Boską wierzą, Jezusa w sercu noszą. – Skinęła głową w przekonaniu. – Tamci to dzikusy. Nigdy pani nie wie, czego się po nich spodziewać.

Chciałam zostawić to bez komentarza, jednak buntownicza część mojej osobowości na to nie pozwoliła.

– Pani wie, że te wszystkie religie to jedno i to samo, ale pod innymi nazwami i imionami, prawda? – burknęłam bez krzty entuzjazmu, bo powoli zaczynało brakować mi cierpliwości. – A tak w ogóle, to wszystkie religie stworzone są po to, żeby kontrolować społeczeństwa i trzymać je w ryzach. I oczywiście budować wysokie mury między społeczeństwami. W końcu najbardziej krwawe wojny i ludobójstwa motywowane były właśnie wierzeniami.

Kobieta wpatrywała się we mnie, jakby stał przed nią sam Szatan. Powoli skinęłam głową, zrozumiawszy, że namieszałam jej w umyśle, zaburzyłam porządek, który prawdopodobnie organizowała sobie od najmłodszych lat.

– To ja już pójde, pani Łucjo. Czas nagli – odrzekłam, spoglądając na zegarek na swoim nadgarstku. Zrobiłam dwa kroki w tył i wciąż patrząc na kobietę, powoli zamknęłam drzwi do mieszkania. Musiałam naprawdę bardzo się wysilić, żeby nie parsknąć przy tym śmiechem.

Wychowywana byłam w wierze katolickiej, jednak nigdy do mnie wielce nie przemawiała. Mimo usilnych starań mojej ukochanej babuni nie stałam się gorliwą katoliczką. Wręcz przeciwnie. Nieraz w kościele miałam wrażenie, że kompletnie tam nie pasuję. Czasami zastanawiałam się nawet, czy rzeczywiście nie jestem naznaczona jakimś felearnym pocałunkiem demona, bo przebywanie w kościele i słuchanie zaspanych wywodów księdza przyprawiało mnie o mdłości i zawroty głowy. Potem oczywiście okazało się, że to nie demony mnie opętały, tylko niskie ciśnienie, przez które pojawiały mi się mroczki przed oczami.

Boga widziałam w naturze i dobru czynionym nie ze względu na strach przed potępieniem, ale czynionym z dobroci serca, czasami wbrew temu, co los rzuca nam pod nogi i co dyktuje rozsądek. Takie bezinteresowne dobro było cudem bożym. Zawsze dziwiłam się,

jak godzina tygodniowo w kościele i „dobre” uczynki czynione jedynie po to, by przejść przez wychwalane, mistyczne bramy nieba, mogą zagwarantować nam miejsce przy Bogu. Już jako małe dziecko dostrzegałam w tym błędy logiczne. Jako dorosła kobieta nawet nie rozważałam już takiej możliwości. Nie chciałam służyć bajek stworzonych po to, by wywoływać w ludziach strach. Chciałam być dobra dla siebie i innych, między innymi dla tych, którzy ślepo wierzyli w te żartobliwe – ale mało śmieszne – opowiastki.

– Boże! – krzyknęłam, gdy po kilku minutach zerknęłam na zegarek. – Ta kobieta gadała przez piętnaście minut! – wymamrotałam do siebie, w pośpiechu wkładając buty. – Nie zdążę, nie zdążę. – Zrobiłam bezsilną minę.

Wybiegłam z domu, zwracając jedynie uwagę na stopnie przed sobą. Jakże wielkim pechem byłoby, gdybym właśnie tego dnia skończyła w szpitalu ze złamaną nogą. Dotarłam na dół, gdzie minęłam innego sąsiada, który również ze względu na moje preferencje muzyczne chyba średnio za mną przepadał. Ale czy to moja wina, że dźwięk w tym budynku się tak niesie? Przynajmniej istniał cień szansy, że nawrócę ich tymi melodiami z wiary, która ogranicza ich swobody i zmusza do pełnego oddania się niewidzialnemu Bogu.

Pobiegłam na przystanek tramwajowy naprzeciwko budynku, w którym mieszkałam. Na elektronicznej tablicy napisane było, że mogę spodziewać się pojazdu za około sześć minut. Z plecaka wyjęłam telefon, a po odblokowaniu ekranu zauważyłam, że mam nieodebrane połączenie. Było od Piotra. Na szyi zacisnęła mi się pętla. Chwyciły mnie okropne duszności. *Czego on chce... na pewno coś poszło nie tak i dziś nie pozbędę się mieszkania*, w myślach snułam możliwe scenariusze rozmowy telefonicznej. Mimo przepełniającego mnie strachu wystukałam jego numer i wcisnęłam słuchawkę.

– Halo? Piotr? – odezwała się od razu po tym, jak zniknął sygnał.

– Izzie, jesteś już w drodze? – zapytał radosnym tonem.

– Jestem... nawet nie mów, że coś poszło nie tak i dziś nie dobijemy targu – wykrztusiłam z siebie zachrypniętym, przestraszonym głosem.

– Wszystko jest w porządku! – zapewnił mnie, a w jego głosie słyszałam, że rozbawił go mój pesymizm. – Chciałem się tylko upewnić, że nie zasnęłaś i dojedziesz na czas.

Odetchnęłam z ulgą, a ciężar, który wpakował mi się na ramiona, właśnie ze mnie zszedł. Spojrzałam na tablicę odjazdów, po czym odpowiedziałam:

– Nie zasnęłam, ale z tym dojazdem na czas może być słabo.

– Spóźnisz się?

– Może chwilę. Moja uroczą sąsiadka postanowiła urządzić sobie ze mną poranną pogawędkę i zeszło mi na niej dobre piętnaście minut.

– Mam zapowiedzieć, że mniej więcej tyle się spóźnisz? – zapytał mniej ochoczym tonem.

– Nie, na razie nic nie mów. Postaram się nie schrzącić tego i dotrzeć na czas. – Skinęłam głową, choć nie do końca wierzyłam we własne słowa.

Na tablicy czas zmienił się na cztery minuty. W zniecierpliwieniu przebierałam nogami, jakby miało to przyspieszyć przyjazd tramwaju.

– Ja już czekam na miejscu. Możesz się trochę pogubić, bo wejście do kancelarii jest schowane. Musisz zadzwonić domofonem pod trójkę i wejść na drugie piętro. Kancelaria jest za takimi... – przerwał na chwilę. – Za połączanymi drzwiami.

– Nie ma żadnej tabliczki? Kancelarie z reguły mają swoje oznaczenia na budynkach.

– Ale nie ta... Zaproponowałem inną, z którą mam umowę jako pośrednik nieruchomości, ale twoi kupcy wybrali tę, bo była tańsza.

– Z tą kancelarią nie masz umowy? – dopytywałam, bo ten wybór nieco mnie zmartwił. – Jesteś pewien, że ta kancelaria jest godna zaufania?

Piotr zaśmiał się na głos.

– Jestem pewien – odpowiedział. – Nie jest to pierwsza opcja, na którą bym się zdecydował, ale nieraz podpisywałem tutaj umowy sprzedaży i kupna nieruchomości.

– Ale jako pośrednik nie masz z nimi umowy, tak?
– Jako takiej umowy nie. Powiedziałbym, że jest to słowny kontrakt.
– Nie muszę się martwić?
– Oczywiście, że nie. Naprawdę myślisz, że zostałąbyś oszukana w biurze notarialnym?
– W Polsce wszystkiego się spodziewam.
– W sumie trochę rozumiem, ale...
– Hej, Piotr! Muszę zmykać. Mój tramwaj właśnie nadjeżdża – przerwałam mu i wychyliłam się na tory, by sprawdzić numer na pojeździe. – Tak, to mój – powtórzyłam do słuchawki.

– W takim razie zaraz się widzimy, Izzie! – szybko wymamrotał do słuchawki Piotr, kiedy ja powoli już odsuwałam ją od swojego ucha.

Wskoczyłam do tramwaju, w którym nie było nawet jednego wolnego miejsca do siedzenia. Tak jak kiedyś ciśnienie miałam niskie, tak teraz lubiło mi przeskakiwać z bardzo niskiego na bardzo wysokie. Po dłuższym staniu dostawałam silnych zawrotów głowy, zatykały mi się uszy i kolorowe kropeczki tańczyły mi przed oczami. Oblewały mnie też zimne poty, mimo że na dworze było już stosunkowo ciepło. Po czterech przystankach i pojawieniu się dodatkowych pasażerów miałam wrażenie, że zabrano mi dopływ powietrza. Próbowalam ustać, jak każdy inny człowiek obok mnie, ale nie dałam rady. Wiedziałam, że jeżeli nie kucnę, to po prostu zemdleję. Mimo że było mi wstyd, kucnęłam nisko na kolanach. Od razu zrobiło mi się lepiej. Poczułam ulgę, bo wiedziałam, że dzięki temu dojadę do centrum.

Gdy nadszedł czas, żeby wsiąść, wstałam i wyskoczyłam przez otwarte drzwi z nieopisywalną słowami ulgą. Plecak ciasniej założyłam na plecy, wzrok skierowałam na wielki stary zegar wiszący nad dworcem w centrum. Miałam pięć minut do spotkania, a dziesięć minut drogi wyświetlonej na mapie w telefonie. Dłonie zaparłam na ramiączkach swojego plecaka, po czym truchtem skierowałam się w stronę kamienic. Z zadyszka i niezdrowo przyspieszonym pulsem dotarłam pod budynek, w którym znajdować się miało biuro prawników. Rozejrzałam się dokoła, jednak nic nie wskazywało na to, że jestem w odpowiednim miejscu. Wtedy przypomniało mi się,

co Piotr mówił przez telefon. Podeszłam bliżej klatki i z nieśmiałością spojrzałam na stary domofon. Wcisnęłam trójkę i czekałam.

Chwilę później rozległ się brzęczący dźwięk otwarcia dla mnie drzwi wejściowych. Chwyciłam za okrągłą klamkę, przekręciłam ją i weszłam do środka. Marmurowymi schodami dotarłam na drugie piętro, gdzie czekał na mnie Piotr i rodzina, której dziś miałam przekazać swoje mieszkanie. Mój stary znajomy patrzył na mnie z politowaniem i rozbawieniem. Podał mi nawet ukradkiem chusteczkę, bym otarła spływający mi z czoła pot.

Zasiedliśmy przy bukowym stole w pokoju, który swoim wystrojem miał stwarzać atmosferę powagi i profesjonalizmu. Podano mi do rąk plik białych kartek naznaczonych czarnym tuszem. Przeczytałam je, choć wiedziałam, że nawet gdyby były tam jakieś kruczki, to i tak z pewnością bym ich nie wychwyciła. Zaufałam Piotrowi i zaakceptowałam umowę. Z uśmiechem na twarzy podniosłam pióro, które dostałam po mamie, i złożyłam podpis na końcu umowy – podpis, który oficjalnie zakończył żalobną część mojego życia i rozpoczął nowy, wypełniony spokojem i nadzieją etap.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

KOBIETA, KTÓRA STRACIŁA WSZYSTKO, I MĘZCZYZNA, KTÓRY KIEDYŚ CHCIAŁ JEJ TO WSZYSTKO DAĆ

Isabella po traumatycznych przeżyciach i próbie samobójczej wyjeżdża do jedyne-
go miejsca, które kojarzy jej się ze spokojem. To zaciszne miasteczko w północnej
Szwecji, które odwiedzała z rodzicami każdego lata, aż do 1989 roku.
Wówczas co rok czekał tam na nią Noah, jej bratnia dusza.

Brutalnie złośliwy los sprawił, że para rozstała się w gniewie, bez wyjaśnienia sobie
pewnych spraw. Po szesnastu latach rozłąki rozgałęzione ścieżki wspólnej
przeszłości dwojga ludzi znowu się ze sobą krzyżują. Noah pomaga Jezzcie rozpocząć
nowy życiowy rozdział, jednak co chwilę znika bez słowa. Czyżby źródła jego
tajemnicy sięgały daleko wstecz, do 1989 roku i ostatniego lata, które spędzili
razem przed rozstaniem i wkroczeniem w dorosłość?

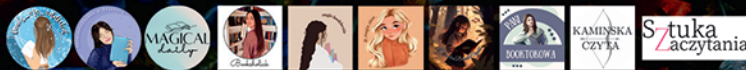
Czy los znowu z nich zadrwi? Czy spotkanie z rockmanem okaże się dla Jezzcie
ratunkiem, czy może będzie gwoździem do trumny, przepustką na drugą stronę,
po której czeka nie tylko śmierć, ale i utracone dziecko i rodzice?

HISTORIA O PRZEPIĘKNEJ, PONADczasowej MIŁOŚCI -
O ODNAJDYWANIU I RATOWANIU SIEBIE,
O CIERPIENIU I DRUGICH SZANSACH.

Książka inspirowana tekstami utworów szwedzkiego zespołu Ghost



PATRONI MEDIALNI:



ebook dostępny na:

ebookpoint

beyA 18+
beyA.pl



cena 49,00 zł